Nr. 39. We Lwowie dnia 30. września 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Królewicz Marko.

PIEŚŃ I.

(Ciąg dalszy).

To nie słońce złotym ogniem świeci,
Ale świecą pysznem srebrem, złotem
I drogiemi świecą kamieniami
Jasne mury grodu cesarskiego,
Bogatego grodu Carogrodu.
Na bogactwa, na srebro, na złoto
Z poza morza spogląda łakomie
Pies niewierny, turek-bisurmanin,
I potrząsa złotym półksiężycem
I chce grabić cerkwie prawosławne.

Zbiera wojska car Sułtan Amurat.
By wojować greckiego cesarza.
Jak zwycięży greckiego cesarza,
Na Bułgarów pójdzie i Bośniaków
I na serbską ziemię starosławną.

Gdy tak wojska swoje zbiera sułtan,
Serbskie króle wadzą się ze sobą,
Za królami wadzą się żupany,
Za panami wielkie własteliny,
A za nimi drobne własteliczc,
A nie pomni nikt o prostym ludu,
O tych sebrach albo-li nerопsach,
Nikt nie pomni o ludu wieśniaczym,
Że on płacze w żupanów niewoli,
Choć jest serbskiej krwi i pokolenia;
Aż się smuci tem święty car Łazar,
Bo wyczytał w księgach carostawnych,
Że już czasy nadchodzą ostatnie
I że serbskie ma zaginąć carstwo.

On car Łazar władał serbskim królom,
Wojewodom, kniaziom i żupanom.
I budował cerkwie prawosławne,
I ochraniał biedny lud wieśniaczy
I ukracał panów samowolę.
Ukrócił też Marka królewicza,
Tylko nie mógł z Marka królewicza
Zdjąć car Łazar klątwy Wukaszyna.

Aż ci pisze car sułtan Amurat
Do serbskiego cara, do Łazara:
»Źle, gdy w jednej ziemi są dwa cary,
Gdy dwom carom lud daninę składa.
Dwaj nie możem nad Serbją panować,
Więc mi oddaj twoją serbską ziemię,
I daninę za siedm lat ostatnich,
A jak nie dasz ziemi, ni daniny,
To mi wychodź na bój, na Kosowo!
Czyta Łazar pismo Amurata,
Czyta pismo i łzy gorzkie roni.
Lecz nie snadno płakać jest mężowi,
Zatem Łazar pisze ukaz wielki
I po serbskiej ziemi go ogłasza,
Wszystkim królom, wojewodom, żupanom,
Własteinom, drobnym własteliczom.
Wielki ukaz pisze: Ej Serbowie!
Iść nam trzeba na bój, na Kosowo,
Pomierzyć się z turkiem bisurmanem
Za Ojczyznę i za wiarę świętą!
Gdy na niebie zaświta dzień Wita,
Idźcie wszyscy na wielkie roczysko.

Kto zaś Serb jest i serbskiego rodu,
I jest serbskiej krwi i pokolenia,
A nie pójdzie na bój, na Kosowo —
Ten niech będzie przeklęty na wieki,
Niechaj nic mu nie rodzi się w polu,
Ni czerwone wino, ni pszenica!«

(C. d. n.). *A. Lange.*

KRYZYS.

(Studjum z natury).

I.

Sześć dziwnie brudnych, pod sznur wyciągniętych kamienic, jak sześć trzypiętrowych stosów niebielonej cegły, sterczy wpośród pustej aż po krańce widnokręgu wydmy. Za kamienicami tu i ówdzie stoją sieroce, suchotnicze drzewa, jakby powtykane w ziemię — na nich płachty schnącej bielizny. Przed kamienicami dwie drogi krzyżowe, istne rzeki błotem płynące, świecą coraz jaskrawiej pomarańczową, w deszczach rozmiękłą gliną. Na krańcu wreszcie widnokręgu tam, gdzie stroskany tym krajobrazem wzrok radby spocząć na skrawku lasu — niewyraźnie majaczeją czarne b o ł d y łupków kopalnianych, kominy fabryczne i wieże szybowe i biegnie w męcząco prostej linji piasczysty plant koleji... Taki widok przedstawiał się mieszkańcom oficyny dla urzędników kopalni »Maciej«, ten widok ujrzał Kalinowski, wyglądający z niecierpliwością, czy nie zaszły już konie? Koni jeszcze nie było, chociaż w sześciu brudnych kamienicach, stanowiących kolonję robotniczą kopalni »Maciej«, wszczął się już ruch przedwieczorny wracających od pracy. Kalinowski jeszcze raz obejrzał tłomoki, zamki przy szafach i biurku i znowu wyjrzał przez okno. Drobny, mglisty deszczyk zaczynał kropić na dworze, zaścielając mgiełką beznadziejny pejzaż; w kolonji kobiety na gwałt zbierały płachty; gdzie niegdzie w ciemniejącej szybko atmosferze błyskały już światełka wieczorne. Na dole, na podwórzu oficyny stało kilku urzędników, rozprawiających o interesach kopalnianych. Buchalter odgrażał się, jak codzień o tej porze, że rzuci budę, jeśli dyrekcja nie da mu pomocnika; kasjer, blady i mizerny człeczyna, machał tylko ręką:

— Czekaj — no pan — teraz pan Kalinowski wyjeżdża na dwa tygodnie, top anu jeszcze dodadzą roboty.

Kalinowski wychylił się z okna.

— Strachy na lachy, panie! — zawołał śmiejąc się — zastępstwo już urządzone. — Nie widział pan po drodze, czy tam Ignacy zaprzęga?

— A pilno, widzę, panu? — rzekł kasjer. — Ma pan Ignacego.

Z poza ostatniej z sześciu kamienic wytoczyła się bryczka parokonna — ta sama okropna bryka, którą Kalinowski w charakterze referenta i doradcy prawnego objiał ze złorzeczeniami powiatowe bruki. Ale teraz na widok bryczki rozjaśniła mu się twarz. Jeszcze kilka chwil, parę pożegnań, przypomnień, zapewnień — i jazda na kolej. Kalinowski wyminął szczęśliwie żandarma, który najwidoczniej gotował się podać mu wspaniałomyślnie swą prawicę — i przepchawszy się przez rój żydków, dopadł wreszcie wagonu.

Jeszcze go ktoś woła!

— Panie Kalinowski, panie Zygmuncie!...

Jest to mechanik kopalni, w towarzystwie jednego z dozorców, czyli sztygarów. I sztygar i mechanik wyglądają, jakby kłusem biegli parę wiorst.

— Proszę pana — mówi mechanik — oto ten list, o którym panu mówiłem.

Kalinowski chowa szybko list, spoglądając ukradkiem w stronę żandarma.

— Nic, nic — zapewnia mechanik — niech tylko pan będzie łaskaw natychmiast...

— A nie zapomni pan o mojej pracy? — woła sztygar.

Kalinowski ściska mu dłoń z energją.

— Już niech pan będzie spokojny: mam ją na samym wierzchu walizy.

Rozlegają się ostatnie sygnały — pociąg rusza. Sztygar i mechanik powiewają czapkami, nie umiejąc ukryć żałośnych min na widok wyrywającego się na swobodę... Kalinowski tylko się śmieje.

— Przyjdzie i na panów kolej!

Pociąg niknie po prostej linji plantu — po tej samej linji, którą widać z oficyny kopalni »Maciej«. Kalinowski w pierwszej chwili nie siada nawet, tylko stojąc przeświadcza się, że naprawdę nikną mu z przed oczu kominy fabryczne, wieże kopalniane, wreszcie przesuwa się ciemna masa kolonji robotniczej! Dla pewności uderza się Kalinowski po bocznej kieszeni: czuje w niej pugilares, a w pugilaresie urlop na dwa tygodnie! Teraz dopiero ze ściśniętej piersi referenta wydobywa się długie westchnienie ulgi, połączone z jakiemś radośnem drżeniem.

— Nareszcie, nareszcie! szepcze przymykając w rozmarzeniu oczy. Teraz, kiedy kurjer niesie go napewno do Warszawy, na całe dwa tygodnie, kiedy i brudna kolonja i biuro i w s z y s c y o n i, zostają coraz dalej za pociągiem — teraz czuje Kalinowski najwyraźniej, że był to ostatni czas wyrwać się.

— Wyrwać się z tej dziury — szepce — zaczerpnąć oddechu, ludzi zobaczyć...

Rok pracy, rok widoku z rana i wieczorem na kolonję »Maciej«, pierwszy rok terminu po uniwersyteckiej swobodzie — straszny rok! Kalinowskiemu wszystko to przedstawia się teraz w postaci zmory; — rzeczywistość, życie — to Warszawa, to dawni znajomi, teatr, wystawa, kawa czarna u Blechlego, czytelnia nowości, zebrania wieczorne u Victora... Wyrazy te działają na Kalinowskiego, jak narkotyk: czuje w mięśniach drgawki, jakby już teraz chciał wyskoczyć na Marszałkowską i pomknąć tak dawnym szybkim krokiem na znane piąterka.

— Pan dobrodziej do Warszawy pewnie? — zagaduje Kalinowskiego jegomość z przeciwka.

— Tak, panie — odpowiada Kalinowski z niezmierną uprzejmością. Z tą samą uprzejmością podaje konduktorowi bilet... Na chwilę z brzydkiego nałogu staje mu w oczach znany widok z oficyny: Kalinowski wzrusza z niecierpliwością ramionami i znowu roztacza w myśli skarby, zawarte w wyrazach: teatr, Bolek, wystawa, Marszałkowska, Nowy świat.. Zwolna jednak ustaje gorączka pierwszego wrażenia i Kalinowski postanawia »pomyśleć porządnie«. Z radośnego chaosu wykrzykników wynurza się nastrój bardziej ześrodkowany, uwaga Kalinowskiego skupia się około potrzeby zanurzenia się w inteligentnem życiu, zaczerpnięcia w lepszej atmosferze sił na nowy rok wegetowania »w trzęsawisku«...

— Każdą chwilę trzeba wyzyskać, myśli Kalinowski. I rysy jego ściągają się w wyraz pewnej przenikliwej niezłomności, cechującej chwile postanowień w przededniu ich urzeczywistnienia.

II.

Cztery pierwsze dni pobytu w Warszawie, przeminęły Kalinowskiemu w istnym deptaku. Przedewszystkiem trzeba było załatwić oficjalne polecenia dyrekcji i półoficjalne, a niemniej pilne interesa pani dyrektorowej. To zajęło dwa dni i trzeciego połowę, podczas których Kalinowski znał tylko ajencje, biura i sklepy. Był to również okres spotykania w przelocie znajomych, których dawniej Kalinowski możeby nawet sobie nie przypomniał, ale teraz witał radośnie, brał adresy i zapraszał do siebie, do hotelu saskiego. Następnie należało doprowadzić do porządku garderobę — przed wieczorem czwartego dnia zostawały mu tylko interesa kolegów do załatwienia. Ale na razie nie miał wprost sił do rozpoczęcia nowej serji krętaniny i odłożył je na później. Wieczorem czwartego dnia dawali »Gniazdo rodzinne« i Kalinowski znalazł się wreszcie w teatrze. Trafił dobrze: teatr był pełny, Lüdowa, do której zawsze czuł szczególniejsze nabożeństwo, grała z całej duszy. W krzesłach spotkał się z paru znajomymi, co mu też było na rękę, bo potrzebował »podzielić się« wrażeniami. W drugim akcie siedział już w loży narzeczonej Bolka, którego od przyjazdu widział raz tylko. Bolek w charakterze narzeczonego, przedstawiał też swego rodzaju widowisko. Nie było w nim nic dawnego koleżki i Kalinowski podziwiał dyskrecję i płynność ruchów Bolka, kiedy podawał narzeczonej pudło cukierków, lub kiedy cierpliwie przemawiał do jej matki, matrony głuchej i korpulentnej. Narzeczona przeciwnie słuch miała niezmiernie wyrobiony i była szczuplutka, trochę wyglądająca na szczurka. Kalinowski próbował nawiązać z nią rozmowę, ale panna Anna odrazu go ostudziła.

- Jestem tu tylko dla mamy i przyznam się panu, że nawet nie bardzo dziś uważam...

Tu nastąpiło wymienienie wymownych spojrzeń między nią i Bolkiem i Kalinowski zrozumiał, że dla tych dwojga Lüdowa mogłaby na razie nie istnieć. Chociaż z drugiej strony dziwiło go trochę, że panna Anna ciągle siedziała w kąciku z główką odwróconą ku krzesłom, a Bolek ciągle pracował nad słuchem mamy. Przy pożegnaniu, mama wyrzekła sakramentalne:

— Miło nam będzie...

na które Kalinowski odpowiedział z całą serdecznością, »jako najbliższy przyjaciel Bolka«. Poczem obaj bardzo szybkim krokiem, ruszyli na Krakowskie Przedmieście. Kalinowskiemu pilno było do gawędy z Bolkiem.

— Cóż, stary, dobrze ci jest? szczęśliwy jesteś? — wołał Kalinowski.

Bolek trochę się skrzywił.

— Nie skarżę się... Chociaż djabli nam nadali nowego szefa.

— Jakiego szefa? — zdumiał się Kalinowski.

— No szefa w biurze. — To sprawiło, że mój awans został spóźniony o cały miesiąc, jeśli nie więcej. — Uważasz, nie mogę brać ślubu, jako pomocnik referenta.

Kalinowski nie nalegał.

— Phi... zapewne... to zależy.

— Łatwo ci mówić, boś odrazu dobrze trafił. Ale trzeba ci było trafić do naszej budy! Zresztą, pal ich djabli: mam zapewnienie ze strony pryncypała, że przypomni o mnie szefowi.

Kalinowski próbował wepchnąć gawędę na ciekawsze tory.

— Powiedz że mi, z kim ty się tu głównie widujesz?

Bolek machnął ręką.

— Niewiele mam czasu na widywania się. Zresztą ciebie niema, Modzelewski siedzi w Radomiu.

— A cóż Grunczyński? — przerwał Kalinowski z ożywieniem — straciłem go trochę z oczu — mało widocznie pisuje?

— Grunczyński pracuje podobno nad czemś z filozofji — no i maluje obrazy.

Kalinowski zdziwił się.

— Maluje obrazy?

— Maluje i powiadają, że nawet jest w tem talent.

— No, no — ten się przynajmniej nie poskarży na brak uzdolnień.

Bolek westchnął.

— Szczęśliwy facet — bogata natura.

Kalinowski rozpytywał się z coraz bardziej wzrastającą werwą człowieka, któremu pilno dopędzić, stanąć na poziomie dobrze niegdyś znanych stosunków. Bolek dawał informacje szcze-

gółowe, ale z odcieniem melancholji w głosie, która wreszcie zwróciła uwagę Kalinowskiego.

— Przyznaj mi się stary, że coś ci dolega — rzekł Kalinowski.

Bolek wzruszył ramionami,

— Co mi ma dolegać? Powodów do wielkiej uciechy nie widzę.

Kalinowski miał ochotę zaprotestować w imię panny Anny chociażby, ale się wstrzymał, nie czując się zbyt pewnym na tym gruncie. Rozmowa znowu weszła na kwestję awansu. Bolek znał dokładnie uposażenia i widoki wszystkich dawnych kolegów. Wiedział, że Modzelewski ma już do dwóch tysięcy z praktyki w Radomiu i że żeni się z córką miejscowego rejenta; że Sawicki w Kaliszu, sam się zajął rejenturą.

— Ah, ah — zawołał nagle — pamiętasz ty głupiego Franka?

Kalinowski zaśmiał się.

— Jeszcze by też: »Franciszek Pieńkowski, słusznie tak zwany dla swojej głupoty«.

— Otóż wyobraź sobie, ten głupi pień jest głównym plenipotentem u jakiegoś moskaluka i bierze 6 tysięcy rubli rocznie przy całem książęcem utrzymaniu!

Kalinowski się zmarszczył.

— Co ty mówisz, Pień?

— Tak, tak: dień... Konie, mieszkanie i sześć tysięcy!

— Zmiłuj się, ależ w Rosji! — zawołał Kalinowski.

Bolek słabo przytaknął.

— No tak, w Rosji, prawda, że nie musi mu tam być zbyt przyjemnie.

Kalinowski zmienił temat rozmowy.

— Cóż ty porabiasz wieczorami – bywasz w teatrze?

— Bywam — to jeszcze trochę rozrywa — rzekł Bolek.

— Powiedz — że mi, jakie tu są nowe siły artystyczne? Znasz się ty z kolonją malarską?

Bolek machnął ręką.

— Daj ty mi spokój z malarją... Przyznam ci się, że mi tam nie obrazki w głowie.

Kalinowski chciał zaprotestować przeciwko pogardliwemu traktowaniu sztuki, ale nie czuł usposobienia do dysputy. Jeszcze najlepiej było rozmawiać o kolegach.

Około godziny drugiej wyczerpała się skarbnica informacji Bolka. Kalinowski już tylko notował adresy, obiecując sobie, że »napewno napisze« do Modzelewskiego.

(C. d. n.) *Jerzy Grot.*

Dr. Wojciech Dzieduszycki.

O wiedzy ludzkiej.

Lwów. 1895 r.

(Dokończenie).

Przechodzimy teraz do drugiej części dzieła autora.

Wstępując do tego labiryntu mądrości, gdzie mamy ujrzyć istotę rzeczy, prawdę bezwzględną, należałoby może za przykładem autora pożegnać się z rozumem, który tu na nic się nie przyda. Nie dowierzając atoli intuicji, jedynej przewodniczce autora, zachowujemy rozum dla własnego użytku, gdyż przy jego świetle tylko zdołamy zdać sobie sprawę z tego, co nam intuicja autora ukazuje w półcieniu.

Zasadniczą myślą drugiej części dzieła jest zapatrywanie, które możnaby wziąć za powtórzenie teorji Berkeley'a. Nie da się zaprzeczyć, że jest między niemi pewne podobieństwo, ale to podobieństwo jest takie, jakie zachodzi między karykaturą, a osobistością, którą karykatura ta przedstawia Inaczej być nie może. Berkeley w swej teorji kieruje się ścisłem rozumowaniem: to tylko przyjmuje za prawdę, co z konieczności rozumowej za nią przyjąć musi. Inną drogą dochodzi do swych pomysłów dr. Dzieduszycki. U niego głos rozumu nic nie znaczy, o wszystkiem rozstrzyga intuicja. Dlatego też mimo pozornego podobieństwa ogromne zachodzą różnice między teorją angielskiego filozofa, a pomysłami naszego, świadczące wymownie o samodzielności tego ostatniego.

Podług Berkeley'a materja nie istnieje, istnieją tylko Bóg i duchy, przez niego stworzone, do których i my, ludzie, należymy. Spostrzeżenia nasze nie są czem innem, jak wyobrażeniami Boga, nasze zaś wyobrażenia są przypomnianemi przez nas spostrzeżeniami, stanowiącemi nasze doświadczenie. Inaczej ma się rzecz podług naszego filozofa. »Bóg, mówi on, wyobraża sobie świat i swoje wyobrażenia narzuca duchom poznającym, które sobie także na swoje podobieństwo wyobraził, a wszystko jest tem, czem je sobie Bóg wyobraził. Jeśli Bóg coś sobie pomyślał, jako istniejące niezawiśle od ograniczonych podmiotów, jest rzeczywistością — w przeciwnym razie jest tylko wyobrażeniem naszem — rzeczywistem, jako wyobrażenie, ale nie jako rzecz, egzystująca poza naszym umysłem«.

Berkeley zdawał sobie dokładnie sprawę ze wszystkich szczegółów swej teorji — i dlatego odznacza się ona wewnętrzną zgodnością i nie sprzeciwia się wcale ani wynikom wiedzy doświadczalnej, ani wymogom życia praktycznego, gdyż dotyka jedynie metafizycznej strony bytu, nie zaś zjawisk, które stanowią treść naszego

świata widomego. Przeciwnie, pomysły dr. Dzieduszyckiego, powzięte z natchnienia, a więc bez zastanowienia się nad ich następstwami logicznemi, są tak niezgodne z sobą, tyle w sobie zawierają jaskrawych sprzeczności, że trudno pojąć, jak mogły one powstać w mózgu tego samego człowieka. W całem swem dziele występuje on, jako gorliwy szermierz w obronie spirytualistycznych aktów wiary, jakiemi są: nieśmiertelność duszy ludzkiej i wolność woli, tymczasem sam obu tym dogmatom zadaje cios śmiertelny. W przytoczonym powyżej ustępie, który stanowi obrotowy punkt całego jego »systematu filozoficznego«, jak on nazywa tę swą zbieraninę najsprzeczniejszych twierdzeń i poglądów, powiada wyraźnie, że ludzie »są duchami, które Bóg sobie także na swoje podobieństwo wyobraził«; czyli, że są wyobrażeniami, istniejącemi w Bogu i przez Boga, nie mającemi bytu samodzielnego, a więc pozbawionemi osobowości, która jest niezbędnym warunkiem nieśmiertelności indywidualnej. Nie dość tego, utrzymuje on dalej, że wyobrażenia ludzkie są tem, co Bóg sobie pomyślał, jako nieistniejące niezawiśle od ograniczonych podmiotów — to znaczy, że człowiek sam za siebie nie myśli, lecz Bóg myśli za niego. Jeżeli tak, to człowiek jest istotą bierną i wolnej woli mieć nie może.

Tego rodzaju pomysłów... paradoksalnych, wyrażając się grzecznie, pomysłów, wzajemnie sobie przeczących, jest taka mnogość w dziele naszego filozofa, że gdybym chciał je wszystkie rozstrząsnąć, musiałbym chyba osobną książkę napisać. Byłaby to atoli praca pod dwoma względami niewdzięczna: znudziłaby czytelników, gdyby ci się znaleźli, a na nicby się nie zdała dr. Dzieduszyckiemu, który przecież nie na to został profesorem, ażeby sam miał się uczyć, ale na to, ażeby innych uczył... W każdym razie, ażeby nie posądzono mnie o złośliwość, pozwalam sobie przytoczyć kilka jeszcze próbek intuicyjnej mądrości p. profesora.

Mówiąc o czasie i przestrzeni, utrzymuje on, że są to istoty rzeczywiste, pomimo, że nie są substancjami i nie mają własnego podmiotu. Kto może, niech zrozumie, co autor chce powiedzieć! A dalej: »kto za Kantem powtarza, że czasu i przestrzeni n i e m a, plecie słowa, pozbawione sensu...« Jeżeli czego, to pewności siebie i odwagi cywilnej odmówić autorowi niepodobna! O duszy powiada on: »dusza jest nierozciągła, nie można jej jednak nazwać bezprzestrzenną, znachodzi się ona w o k o l i c y m ó z g u, w której się nerwy z m y s ł o w e spotykają z nerwami d o w o l n e g o r u c h u«. Odkrycie to jest bardzo ważne, szkoda tylko, że intuicja nie pouczyła autora, że okolica ta, w której nerwy czuciowe spotykają się (?!) z ruchowemi jest tak obszerna, jak sam mózg, że zatem dusza w niej umieszczona musiałaby być nietylko przestrzenna, ale i rozciągła. Dowiadujemy się przy tem o nader ciekawym fakcie, a mianowicie, że »ile razy poruszamy głową naszą, dusza nasza zmienia miejsce, które zajmuje w przestrzeni«.

Wiemy już, że podług dr. Dzieduszyckiego prawa, rządzące światem zjawisk, nie są stałe i niezmienne, że Bóg w każdej chwili może zawiesić ich działanie, bądź chwilowo, tworząc cuda, bądź na zawsze, ustanawiając na ich miejsce inne. Wobec tego twierdzenia dziwnem może się wydać komuś, co przywykł do logicznej konsekwencji, że autor z całą stanowczością, sobie tylko właściwą, utrzymuje, że gatunki i rodzaje są stałe i niezmienne, że będąc wyobrażeniami Boga, mają byt niezależny od jednostek, które je przedstawiają, i są wieczne. Jeżeli bowiem gatunki i rodzaje, jako wyobrażenia Boga, mają byt niezależny od jednostek, to tak samo w rozumieniu autora prawa przyrody mają byt niezależny od zjawisk i wydarzeń świata i są wyobrażeniami Boga, a więc, jako takie, muszą być stałe i wieczne.

Kończąc swe dzieło, napisane pod natchnieniem intuicji, wyznaje autor skromnie i szczerze, że nie umie odpowiedzieć, czem jest właściwie intuicja i dla tego nie może dać jej określenia. Określenie to tymczasem jest łatwiejsze, niż się autorowi wydaje. Potrzeba tylko przypomnieć sobie słowa ewangelji, która powiada: »po owocach poznacie je«. Owocami intuicji w danym wypadku są pomysły autora. Zastanowiwszy się dobrze nad niemi, łatwo poznamy, że są to reminiscencje z odczytanych pośpiesznie dzieł, przywołane ku usłudze pewnych uprzedzeń i przesądów, których źródła należy szukać we wrodzonych usposobieniach, w wychowaniu i wpływach otoczenia. Słowem, intuicja nie jest niczem innem, jak lenistwem myślenia, niezdolnego zastanawiać się i zdawać sobie sprawę z tego, co przyjmuje za prawdę, niedołęstwem umysłowem, nie umiejącem otrząść się z tego, co mu zostało narzuconem, zarozumiałością nieuctwa, któremu się zdaje, że wygłasza nowe prawdy, kiedy tymczasem powtarza tylko stare błędy, dawno już zapomniane, z dodatkiem swych własnych!...

Władysław Kozłowski.

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

Tu Roksanda rzuciła się na kolana przed młodzieńcem i ręce złożywszy, do niego je wyciągnęła.

Ale Kostaki próśb nie słuchał i szepnął tylko:

— Daj pokój, to napróżno; ty wiesz, że to napróżno; niema istoty, któraby mnie zwróciła z drogi, na końcu której widzę zbawienie Grecji.

— Pójdziesz po rozum — mówiła mu smutnie Roksanda — a tymczasem skamienieją ich serca, bo nie będzie miał kto zagrzewać ich do czynu, do miłości i do nienawiści zarazem.

— A ty, Roksando?...

— Ja? — zawołała zdumiona.

— Tak, ty! Alboż nie umiesz wszystkich mych pieśni na pamięć? Czyż palce twoje nie umieją przebierać po strunach lutni, jak moje? a serce czy mniej kocha te góry i doliny od mojego serca?

I patrzył Kostaki spokojnie w twarz Roksandy, i widział jak krew występowała na te śniade i ogorzałe lica, i wiedział, komu powierza pieśni swoje, idąc za światy po rozum.

Roksanda już mu nie perswadowała wędrówki; w umyśle jej to, co powiedział Kostaki, było tak wielkiem, tak potężnem, że nie śmiała nawet swego egoistycznego uczucia miłości stawiać obok tego, do czego ją przeznaczył pieśniarz.

A wreszcie, czyż ona nie będzie razem z nim pracowała dla jutra Grecji? Czyż nie będzie powtarzała jego pieśni uroczych Kleftom?...

O, smutek już znikł zupełnie. Schwyciła za rękę towarzysza i zawołała:

— Tak, tak, ty dobrze mówisz, Kostaki: ty idź teraz, ja zostanę tutaj, ale zawsze kochaj... chciała powiedzieć »mnie«, ale dokończyła: Grecję! Patrz na szczyty Peljonu, wraca Grygory z oddziałem; gdy powrócimy tam do nich, zastaniemy ich znów przy ognisku; przecież i z nimi się pożegnać musisz.

I poszli dalej razem na owe szczyty, Kostaki — wspierając się na ramieniu Roksandy.

A silniejszem było snadź ramię tej dziewczyny od ramion młodzieńca, bo co chwila prawie przystawał i opierał się silniej, oddychając szybko.

Gdy weszli na szczyt góry, na tem samem miejscu wokoło ogniska zastali tych samych, którzy wczoraj wieczorem wyszli bronić mieszkańców Pargi. Brakowało wprawdzie kilku, ale przy takich wyprawach na stratę kilku ludzi nikt nie narzeka.

I znów na szczycie Peljonu rozpoczęła się wrzawa, znów Grygory i jego towarzysze wzięli lulki do zębów, a kubki gliniane przed siebie. Kobiety podniecały ogień, napełniały kubki winem i od czasu do czasu wtrącały do rozmowy słówko.

— A gdzie Kostaki? — zawołał Grygory, oglądając się koło siebie. — Gdzie Roksanda? Widziałem ich w Pardze!

— I w Pardze zostali, gdy myśmy gonili Alego.

— Wrócą, wrócą — zawołała któraś z kobiet. — Roksanda pilnuje Kostakiego, nie da mu zginąć.

Rozmowa poszła dalej; każdy miał coś do opowiadania, jakiś epizod z walki; każdy się rad czemś chwalił, a z tych chwalb i z tego opowiadania przekonano się, że ogólny bilans walk przedstawiał się korzystniej dla Kleftów, a mniej korzystnie dla Alego.

— Ten szakal jednak — mówił jeden z towarzyszy — na tem nie skończy rozpoczętej swej krwawej pracy. Pal i stryczek nie będą teraz próżnować w Janinie; zemści się on za tę klęskę, o zemści!

— A czyż jataganów nie mamy? czyż proch zamokł już w naszych sakwach? — zawołał drugi.

— Cicho — mruknął Grygory — tu nie o to chodzi. Jatagan dobry, janczarka także, ale pal niewygodny. Miło umierać, kiedy się ma już kilka łbów tureckich w rachunku, ale straszno umierać tak spokojnie, bez broni i bez możności znaczenia ich karków.

— Więc cóż?...

— Ha, trzeba się z Alim rozmówić; łotr to sprytny, ze świecą szukać takiego drugiego trzeba; on rozumie, czem jest o nas kulka lub jatagan. On przeczuje, że z nami grać w kości niebezpieczną jest rzeczą, i że walcząc z nami, trzeba także karku swojego nastawić.

— Och, Grygory, alboż ty nie wiesz, jak on z nami gadać będzie! Na palu!

— Może — odparł starzec — ale z nas jeden zrezygnować się na to musi; jeżeli go na pal wbić każe lub poćwiartuje, to umierać przynajmniej będzie z myślą, że go pomścimy. No, kto z was podejmie się tego poselstwa?

Dokoła zaległo milczenie, bo nikt nie miał ochoty umierać na palu.

— Cóż, nikt nie pójdzie do Alego? — ozwał się powtórnie Grygory. I w tej chwili zabrzmiały dwa głosy razem:

— Ja!

— Kostaki?!...

— Roksanda?! — powtórzono sobie z ust do ust ze zdumieniem.

— Tak, ja — powtórzył młodzieniec.

— Tak, ja — powtórzyła dziewczyna.

— Roksando — powiedział poważnie Grygory — ty zostaniesz; Kostaki, skoro chce, niech idzie.

— I nie wrócę więcej — dorzucił Kostaki. — Skoro się z Alim rozmówię, skoro powiem, co każecie, pójdę dalej, za światy.

— Zostawisz, opuścisz Grecję? — zawołał Grygory.

— Nie, wezmę ją z sobą w sercu, ukażę światu i zawołam: Ratujcie ją! Wszak o nas myślą inni, trzeba im tylko przypominać siebie często; pójdę do wojewody wołoskiego, Michała Sutzo, tam nauczę się kłamać jak wąż, czołgać jak żmija, a wszystko dla mojej Grecji. Potem pójdę dalej, aż wykołatam u ludzi rozum, i z nim dopiero powrócę.

— Idź — zawołał Grygory — a po drodze wstąp do Alego i powiedz mu, że Armatole i Klefty dłoń mają pewną, że ich ani oko, ani ręka, ani kula nie zawodzi nigdy, i że, jeżeli chce z nami walki, nie pożyje długo.

— Powiem — była odpowiedź. — A co mi Ali odpowie, lub wiadomość o mojej śmierci, przyniesie wam Roksanda.

— Ale kto nam po tobie pieśni śpiewać będzie? zawołał smutny głos jeden.

— Roksanda.

— Znowu Roksanda!

— Znowu Roksanda! — brzmiały głosy wśród tłumu.

— Tak — wyrzekł Kostaki. — Ona umie je wszystkie, a gdybym nową stworzył dla chwały Grecji i dla serc waszych, to ją tutaj przyślę na Peljon przez jaskółkę lub gołębia. Przyślę, wierzcie mi, ona was dojdzie.

Kostaki chciał już odejść, gdy ktoś z tłumu zawołał:

— Kostaki! zaśpiewaj nam tak, jak dawniej, przed odjazdem.

I wnet około ogniska zrobiło się miejsce, znalazł się kamień do siedzenia, a w ręku Kostakiego — lutnia.

Pierwszy pieśniarz młodej Grecji żegnał swych towarzyszy pieśnią.

Kobiety mówić przestały na dźwięk pierwszej nuty, a lulki w ustach Kleftów zagasły.

Kostaki patrzał w niebo, jakby stamtąd oczekiwał natchnienia i ciągle w struny uderzał.

Naraz ozwał się potężny akord i z młodych jego piersi wybiegła pieśń dzika, do okrzyku tryumfu podobna:

»Janczarka, jatagan, albo sierp, gdy ich niema, oto nasz oręż.

»Z janczarką, jataganem, sierpem, będę miał pola, zboże i wino.

»Widziałem Agów, leżących u stóp moich; nazywali mnie władcą wspaniałym.

»Zabrałem im janczarkę, jatagan i pistolety.

»O Grecy, podnieście upokorzone czoła.

»Bierzcie janczarkę, jatagan i sierp, a wasi ciemięzcy nazwą was wnet swojemi wspaniałymi władcami« *).

Gdy śpiewał Kostaki, wszystkie oczy zwracały się ku niemu, a Roksanda patrzyła weń, jak w święty obrazek. Gdy skończył, ani jeden Armatol nie siedział już przy ognisku; skupili się wszyscy około niego, trzymając za rękojeści jataganów lub za sztylety u pasa, jakby już szli mordować swego wroga Alego.

— Bądźcie zdrowi! zawołał Kostaki, rzucając lutnię. — Idę już, idę, pcha mnie coś w drogę.

— Idzie! — ozwało się żałośnie ze wszystkich piersi.

Zaczęły się uściski i żegnania. Kostaki płakał, łzy ocierał, a gdy już ostatnią dłoń uścisnął, fez na czoło nasunął, za ramię Roksandę chwycił i szybko z góry schodzić zaczął, jakby się obawiał, aby mu serca nie zabrakło.

Szedł w stronę, gdzie widniała siedziba Alego.

W Janinie Ali Teleben nie ochłonął jeszcze z wrażenia po wczorajszej krwawej wycieczce, a już myślał o innej; chciał teraz z Suljotami po swojemu się rozmówić, ale umysł ten niespokojny o jednem wciąż myśleć nie umiał, szybko kierunek projektów zmieniał, a teraz nawet było dlaczego.

Tuż koło niego w kornej postawie stał Grek, fanarjota, który się cieszył jego względami.

— Słuchaj, Stataki! — wołał — czemużeś smutny, nie lubię smutnych. Spaliliśmy Pargę całą, całą, rozumiesz? zabrali wszystko wino i wszystko bydło, złota worków parę; zaraz ci pokażę. Jeden z czauszów zabrał z sobą obraz święty, oprawiony w szczerozłote ramy, wart ze 100,000 piastrów.

Stataki obyczajem wschodniego wyznania trzy razy się przeżegnał.

— Ale nie lękaj się, to nie z twojego domu. Ocaliliśmy go przez wzgląd na ciebie. Hej! jest tam który? niechaj przyniesie obraz.

W tej chwili żołnierz wniósł obraz, o którym była mowa. Ali własnemi rękoma złote ramy od niego oderwał, a obraz na kobierzec rzucił.

Stataki jednak podjął go natychmiast i trzykrotnie się znów przeżegnał.

C. d. n.

*) Historyczne, dosłowny przekład.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Dokończenie).

Beheim-Schwarzbach w rozprawie p. n. (Die Mäuselthurmsage von Popiel und Hatto. Posen 1888), tłómaczy podanie metodą eklektyczną. Wychodząc z historycznego punktu widzenia wykazuje najdawniejszą redakcję podania w kronice t. z. Galla na początku 12. wieku. W owym czasie krążyło na zachodzie w ustach ludu pełno podobnych baśni, koncentrujących się w wielkim cyklu podań średniowiecznych o arcybiskupie Hattonie, mających swe źródło historyczne w niechęci do znienawidzonego prałata (zmarłego 913) tudzież w nienawiści plemiennej pogańskich jeszcze Sasów do rodu chytrych Franków, którzy z wiarą odebrali Sasom wolność. Kronikarze (od 13. w.), dokładając coraz silniejszych barw dla zaostrzenia kary zamieniają »zgryzoty« sumienia na »zagryzienie« przez myszy, rodzaj kary długo jeszcze w przeklęciach ludu wymieniany, a przez Thietmara merseburskiego na sto lat przed Gallem zapisany. Gdy nie stało biskupów wylewano złość swą w tej samej formie na inne znienawidzone osoby. Był czas, że rodzaj ten śmierci grasował epidemicznie we wszystkich kronikach średniowiecznych, w Czechach (Grohman), w Austrji (Geib), w Szwajcarji (Bartsch), w Danji (Afzeljusz), w Anglji (Bothonis chronic) itd. Początek podania uważa Beheim za indogermański prawdopodobnie z Azji przeniesiony. Roślina ta jednak nie przyjęła się jednakowo we wszystkich krajach. W Europie występuje ona najwcześniej na pogańskim gruncie saskim, krzewiąc się tu najbujniej. Przez Magdeburg, tę przednią warownię słowiańskiego Wschodu, albo może przez zakonników niemieckich, znajdujących gościnne przyjęcie w klasztorach polskich, dostaje się ona do Polski.

Beheim nie zadawala się jednak tem, historycznie skonstatowanem, przeniesieniem podania z Niemiec do Polski, przyjmuje on zgodnie ze szkołą meteoryczną mityczny pierwiastek podania w tłómaczeniu myszy jako zębów błyskawic, czy też gromów, od których rażony został Hatton. W dalszem tłómaczeniu wskazuje uczony niemiecki także na wpływy miejscowości, działające na ukształtowanie podania. Podobnie, jak inne baśnie przyczepiające się do niezwykłego miejsca (do starych ruin itp.), znalazło i podanie o Popielu punkt oparcia o niepospolite zjawisko wieży na wodzie, której celu w owym czasie nie pojmowano, a która wyobraźnię ludu tem żywiej zajmowała. Beheim przyjmuje nawet motywy psychologiczne, wpływające na utworzenie podania, a stanowiące niejako kit, łączący pierwiastek indywidualny z mitycznym. Ostatecznie wykazuje tendencyjną redakcję podania przez kronikarza Galla, który jako pochlebca króla Bolesława III. starając się wystąpienie w dziejach dynastji Piastów otoczyć aureolą chwały, miotał na poprzedzającą rodzinę królewską dzikie przekleństwa, przeciwstawiając jej uroczą idylę kołodzieja.

Na takim historycznym gruncie oparł też swe badania nad obrzędami, zwyczajami i wierzeniami ludu czeskiego dr. Zibertw wspomnianem dziele czeskiem. Autor wychodzi z założenia, że chrześcijaństwo musiało staczać długie i zacięte walki z pogańską słowiańszczyzną zanim zdołało utwierdzić swe panowanie w tych krajach, a dalejże zwycięstwo zawdzięcza głównie swej mądrej polityce przystosowania się o ile możności do zwyczajów i obrzędów pogańskich w celu pozyskania umysłów niechcących się żadną miarą pozbyć tradycji pogańskiej. Pozostałe do dziś dnia zanikowe obyczaje (sarvival po czesku przežitky), uważa Zibert za wykładniki nietylko pierwotnych słowiańskich obrzędów, ale i chrześcijańskich, kościelnych ceremonij i w tem się różni od mitologów starej szkoły.

Przykłady powyżej przytoczone wystarczą na wysnucie kilku myśli ogólniejszego znaczenia, jakie się nasuwają przy rozpatrzeniu różnorodnych kierunków w spółczesnych badaniach mitologicznych. Analiza tych badań wykazuje w wierzeniach ludowych i pochodnych od nich podaniach, pieśniach, przysłowiach itd. obok pierwiastków rodzinnych, z czasów przedhistorycznych pochodzących, wpływy obce wieków średnich i późniejszych. Chrześcijaństwo, Islam, cały Orjent z swemi kultami zostawiają tu ślady w swym tryumfującym pochodzie. Ze starcia i zmieszania się tak odmiennych pod względem charakteru i wieku żywiołów, wynikła całość tak różnolita, że w każdym niemal odłamku, w każdym zabytku ludoznawczym mamy pozostałość, szczątkowe objawy różnych okresów czasu, różnych stopni rozwoju. I w naszych, na skromne jeszcze rozmiary zakrojonych badaniach w tym względzie, widzimy zastąpione głównie dwa kierunki: jedni (Kolberg, W. Bogusławski) starają się wszystkie nasze wierzenia, obrzędy i podania odnieść do źródła »pogańskiego«, drudzy (Brückner, Franko), usiłują wykazać w nich pierwiastki obce, zapożyczone u innych ludów w wiekach średnich. Ci i tamci mają słuszność. Dlatego też przedstawiciele kierunku eklektycznego (J. Karłowicz, red. »Wisły«) przyjmującego obce kategorje wpływów, najblizsı są prawdy.

Henryk Biegeleisen.

PRO MEMORIA.

1. października 1805. Tadeusz Czacki, otworzył założoną przez siebie słynną szkołę w Krzemieńcu na Wołyniu.

1. października 1817. Powstał związek Filomatów w Wilnie.

1. października 1824. Odczytano na placu Krasińskich carski wyrok, skazujący Łukasińskiego na lat 9, a Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na lat 6 ciężkich robót.

2. października 1794. Dąbrowski i Madaliński zdobyli po krótkiej walce Bydgoszcz, skąd pruskie wojsko ustąpiło, pozostawiając 100 zabitych, 59 rannych oraz 400 jeńców.

5. października 1831. Generał Rybiński przeszedł pruską granicę i złożył broń wraz z 21-tysiącami dzielnego żołnierza, przyczem 96 dział dostało się bez walki w ręce wroga.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.